Jack Kuper
"Dziecko Holocaustu"
Państwowy Instytut Wydawniczy
Warszawa 1995

6

– Którędy do dworca? – spytałem starego chłopa pracującego w polu przy drodze.

– Tą drogą prosto, a potem pierwszą w prawo.

Przede mną otwierała się przestrzeń, słońce świeciło jasno na niebie, które było bezkresne i życzliwe. Od czasu do czasu przystawałem dla odpoczynku i zdejmowałem czapkę, aby pomacać podszewkę. Musiałem sprawdzić, czy nie zgubiłem pieniędzy, a raz nawet je przeliczyłem. „Trzysta złotych" – szepnąłem.

Łany pszenicy kołysały się łagodnie, kartofle i kapusta tkwiły na zagonach bez ruchu. Tu i tam mignęła czyjaś postać, ale przeważnie było pusto.

– Którędy do dworca?

Dziewczyna obejrzała mnie dokładnie, nim odrzekła:

– Prosto, jeszcze ze dwa kilometry.

Słońce napęczniało i sczerwieniało, jakby niedługo miało zajść. Dziwne – pomyślałem – że wstaje po jednej stronie, a znika po drugiej. A następnego dnia zjawia się znów po tej pierwszej. Jak to się dzieje?

– Którędy do dworca?

– To już tutaj.

Rzeczywiście mała stacyjka leżała przede mną jak na dłoni. Słońce prawie zaszło, na ścieżce nie dostrzegłem

nikogo. Uradowałem się, widząc szyny i słysząc daleki, znajomy gwizd lokomotywy. Puściłem się pędem i dopiero wtedy zauważyłem grupę chłopaków usiłujących zabiec mi drogę.

Zwolniłem i modliłem się cicho, aby mnie nie dopadli. Zacząłem gwizdać, by pokazać, że się nie boję, i choć serce zamierało mi z trwogi – szedłem naprzód uśmiechnięty, z podniesioną głową.

Mała stacyjka była tuż, tuż. Chłopcy tak jak ja bosi, uzbrojeni w kije, złapali się za ręce i otoczyli mnie kołem. Udałem, że wcale się nie przejmuję.

– Dokąd idziesz? – spytał jeden.

– Na stację – odpowiedziałem.

– Co tam masz? – Drugi chłopak wyciągnął rękę w kierunku belgijskiego płaszcza.

– Tylko płaszcz.

– Pokaż!

– Po co?

– Chcemy zobaczyć. – Doskoczył i wyrwał mi płaszcz.

– Dajcie mi spokój! – wrzasnąłem. – Albo załatwię was wszystkich!

Gruchnął śmiech, od którego pękały bębenki.

– Spróbuj – powiedział najwyższy łobuz i podszedł bliżej.

Ugięły mi się nogi.

– Przepuście mnie, chłopaki – powiedziałem błagalnie.

Skwitowali to nowym wybuchem śmiechu.

– No, uderz – zachęcił ten najwyższy.

– Nie chcę się z wami bić, chcę tylko wsiąść do pociągu.

– Nie chcesz, ale musisz! – I żeby mnie sprowokować, zerwał mi czapkę.

– Oddaj!

Schował czapkę za siebie, a kiedy próbowałem mu ją odebrać, rzucił jednemu z kolegów. Skoczyłem za czapką – na próżno, fruwała w powietrzu, bawili się nią jak piłką.

Nie mogłem jej złapać. Zabawa trwała. Jak oszalałe ze strachu zwierzę biegałem między chłopakami, spocony, z walącym sercem.

– Oddajcie mi czapkę – prosiłem ze łzami.

Nie mieli litości. Śmiali się, krzyczeli, bawili się tym lepiej, im bardziej byłem przerażony. Kiedy na moment stanąłem, jeden podsunął mi czapkę pod nos, mówiąc jak do kota:

– Kici, kici...

Prawie jej dosięgałem, gdy znowu wzleciała jak ptak, a z tyłu odezwał się inny głos:

– Tu, tu, chodź!

Tym razem się nie ruszyłem, po prostu już nie mogłem. Wszystko to było ponad moje siły, jakbym w ostatniej chwili, bliski ocalenia, musiał zginąć. Usiadłem i żałośnie się rozpłakałem.

– Tu, tu – nęcił głos.

– Za słaby jestem, żeby się z wami bić – zacząłem. – Nie dałbym rady nawet jednemu, co dopiero wszystkim. Ale jest ktoś potężniejszy niż wy, ktoś, kto wszystko widzi, osądza i na pewno was ukarze.

Śmiech ustał, zapadła grobowa cisza, a kiedy uniosłem głowę, nie patrzyli na mnie, tylko wbijali oczy w ziemię. Jakiś zezowaty malec o podrapanych nogach podał mi czapkę. Wziąłem ją, sprawdziłem, czy pieniądze nie wypadły, i otarłem łzy rękawem. Wstając chciałem jeszcze raz spojrzeć im w twarze, ale rozpierzchli się już, paśli krowy na przyległych łąkach.

Droga do małej stacyjki była wolna. Na pociąg czekał tylko elegancki chłopak, mniej więcej mój rówieśnik, w krótkich spodniach, długich skarpetkach i sandałach. Włosy miał jasne i starannie ostrzyżone. U jego nóg stała pękata waliza. Prawą ręką trzymał na skórzanej smyczy wielkiego brązowego boksera w kagańcu.

Pies zjeżył się na mój widok. Chłopak szarpnął wtedy smycz i rozkazał:

– Siad, Adolf.

Jakże zazdrościłem temu chłopcu, bo patrząc na niego przypominałem sobie, jak sam kiedyś wyglądałem. Matka lubiła mnie stroić, szliśmy potem z wizytą albo do parku, gdzie dzieci i dorośli puszczali latawce.

– Gdzie się kupuje bilety? – zapytałem.

– W budynku – odparł.

W okienku siedział starszy człowiek w mundurze i okularach, które spadały mu z nosa.

– Poproszę bilet do Lublina.

– Dwieście trzydzieści złotych – powiedział człowiek i czekał na pieniądze. Zdjąłem czapkę i trochę zawstydzony odliczyłem żądaną kwotę. Wypisał bilet, przedziurkował, ostemplował, zanotował coś w jakiejś książce, i wreszcie wręczył mi bilet ze słowami:

– Tylko go nie zgub.

– Kiedy będzie pociąg? – zapytałem.

Spojrzał na zegar ścienny i jakby do siebie mruknął:

– Niedługo. Tak, powinien nadjechać lada chwila.

Elegancki chłopak z bokserem stał nadal w tym samym miejscu, w którym go zostawiłem.

– Czy ty też czekasz na pociąg? – spytałem.

– Tak.

– Jedziesz do Lublina?

– Tak.

– Sam jeden? – Byłem ciekaw odpowiedzi, bo cieszyłbym się jadąc w jego towarzystwie.

– Z matką. Poszła tam. – Wskazał małą budkę w pobliżu.

– Mieszkacie tutaj?

– Nie, w Lublinie. Przyjechaliśmy w odwiedziny do babci.

– W Lublinie...

Ogarnął mnie znajomy strach. Może Bronek kłamał? Może w Lublinie nie ma Żydów? A wojna wcale się nie skończyła i na lubelskim dworcu czekają na mnie Niemcy?

– Niemcy chyba się już wynieśli, co? – Starałem się, żeby brzmiało to obojętnie.

– Z księżyca spadłeś? – powiedział chłopak. – Wojna się skończyła, Niemcy kaput, nie wiesz?

W milczeniu przełknąłem urazę.

– A co z Żydami? – Słowa więzły mi w gardle.

– Jak to co z Żydami? – zdziwił się chłopak.

– No, są jakieś parchy w Lublinie czy nie?

Elegancki chłopak wykrzywił się jak małpa i odparł:

– Są, są, rozłażą się jak wszy.

Zadrżałem.

– Mój ojciec mówi – ciągnął chłopak – że Hitler popełnił jeden błąd. Powinien był wytłuc ich wszystkich.

– Święte słowa – przytaknąłem.

– Ale nie martw się, AK ich wykończy.

– Skąd wiesz?

– Od ojca. – I z wielką pewnością siebie dodał: – Jemu można wierzyć, jest oficerem.

Usłyszeliśmy gwizd nadjeżdżającego pociągu i w tej samej chwili zjawiła się matka chłopca. Przyczesała synowi włosy, obciągnęła kurtkę, po czym dźwignęła ciężką walizę.

Kiedy wsiadaliśmy, było już prawie ciemno. Patrzyłem uważnie, dokąd idą chłopiec, matka i pies, i żeby nie znaleźć się z nimi w jednym przedziale, pobiegłem w przeciwną stronę. Wskoczyłem do ostatniego wagonu pełnego rosyjskich żołnierzy.

Usadowiłem się przy oknie i podejrzliwie spoglądałem na pasażerów. Część żołnierzy spała, część grała w karty albo jadła. Kilku pisało listy. Trzymałem mocno mój skromny dobytek, zwłaszcza belgijski płaszcz. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, nikogo nie obchodziłem. Jakbym nie istniał.

Pociąg ruszył. Była już noc. Przez okno widziałem migocące w dali małe światełka. Usiadłem wygodniej i zamknąłem oczy.

Z szybkością pędzącego pociągu przepływały mi pod powiekami setki obrazów. Miałem przed sobą całe swoje życie, rozdrobnione, w okruchach, z których najwyraźniej wyłaniał się pysk brązowego boksera. Ślepia psa błyskały groźnie, gotów był mnie pożreć.

– Lublin, wysiadać!

Kiedy otworzyłem oczy, wagon był już w połowie pusty, nieliczni pasażerowie pchali się do wyjścia. Za oknem śpieszyli w swoją stronę obładowani bagażami ludzie. Zewsząd dobiegało sapanie lokomotyw, gwizdy, stukot kół.

– Lublin, wysiadać! – Mężczyzna w granatowym mundurze patrzył na mnie.

– Lublin, już? – Przetarłem zaspane oczy.

– Tak, wysiadaj. – Zniknął w następnym przedziale.

Zgarnąłem swoje rzeczy, wcisnąłem na głowę czapkę i ruszyłem ku drzwiom. Zeskoczyłem w zimną i wyjątkowo ciemną noc, jak się okazało – na szyny.

– Zmykaj stąd, prędko – usłyszałem głos, ale twarzy nie widziałem.

Przeszedłem na inny tor i zobaczyłem nadjeżdżającą lokomotywę. Uciekając wpadłem w ramiona człowieka o usmolonej twarzy, z lampą w ręku.

– Uważaj, którędy chodzisz, synku – wymamrotał gniewnie.

Obok parowóz buchał kłębami pary. Huczał ogień, iskry sypały się i zawisały w powietrzu. Niewidoczni ludzie wydawali dziwne okrzyki. Zdrętwiałem.

Czy to naprawdę Lublin? – pytałem sam siebie. – Czy może mój pociąg miał wypadek, w którym zginąłem i zostałem posłany do piekła?

– Ratunku! – zawołałem z trwogą. – Dokąd mam iść? Niech mi ktoś pomoże, którędy do miasta!

– Chodź za mną. – Ujrzałem niskiego mężczyznę w długim płaszczu, niosącego dwie ciężkie walizki. – Łatwo się tu zgubić – mruczał.

Ledwo dotrzymywałem mu kroku, tak szybko szedł. Przeskakiwaliśmy jakieś tory, kilkakrotnie skręcaliśmy i wreszcie znaleźliśmy się na schodach, które prowadziły do wielkiego gmaszyska. Dokoła ludzie biegali, potrącali się, krzyczeli, nawoływali, płakali, wszystko w pędzie, w pośpiechu. Było to zdumiewające i straszne.

Patrzyłem przed siebie, ale malutki przewodnik roztopił się w tłumie.

Boże miłosierny! – westchnąłem. – Gdyby Bronek był ze mną! On by tutaj nie zbłądził. Sam jestem bezradny. Nie wiem nawet, gdzie prześpię dzisiejszą noc. A następną? A kolejne noce? Zlituj się nade mną, Boże, weź mnie pod swoją opiekę. Zginę, jeśli mi nie pomożesz.

Jakby z bardzo daleka doleciał słaby głos:

– Noclegi, porządne noclegi!

Poszedłem w tamtą stronę i wkrótce zobaczyłem drobną kobietę w zimowym palcie.

– Noclegi, porządne noclegi! Bez pluskiew!

Uśmiech okrasił mi twarz, gdy pomyślałem, jacy dobrzy są ludzie. I Bóg jest dobry, troszczy się o każdego, spełnił moją prośbę. Przystanąłem i zapytałem:

– Można u pani przenocować?

– Tak, w czystym, wygodnym łóżku. Życzysz sobie?

– Jeszcze jak! – powiedziałem radośnie. – Daje pani dowód niezwykłej szlachetności.

Kobieta wyglądała na zaskoczoną.

– Mylisz się, chłopcze. To, co robię, nie ma nic wspólnego ze szlachetnością. Biorę za nocleg sto złotych.

Odsunąłem się parę kroków. Nie do wiary, żeby zarabiać na wynajmowaniu łóżek.

– Nie masz pieniędzy?

– Nie mam. Gdzie śpią ci, co nie mają pieniędzy?

– Tam – odparła. – W poczekalni.

Podziękowałem i przyłączyłem się do ludzi idących w tamtym kierunku.

Przez megafony ogłaszano przyjazdy i odjazdy pociągów. Żołnierz z zabandażowaną twarzą szukał kogoś, mała dziewczynka z lewą nogą w łupkach płaczliwie wołała: „Mamo!"

W końcu dotarłem do poczekalni i znów rozglądałem się zdumiony. Sala była ogromna i rzęsiście oświetlona dużymi, wiszącymi wysoko u sufitu lampami. Panował nieznośny zaduch i tłok, niełatwo było przecisnąć się do środka, bo każdy skrawek podłogi zajmowali śpiący ludzie. Nieliczni nowi przybysze starali się przynajmniej usiąść pod ścianą.

Przepychałem się ostrożnie, żeby nikogo nie nadepnąć. Chrapanie i pomruki tworzyły koncert, który echo roznosiło po całej sali. Patrzyłem ludziom w twarze, na mnie mało kto spojrzał.

Nie usiadłem, ale udało mi się oprzeć o ścianę. Na podłodze przy nogach położyłem swoje rzeczy. Zamknąłem oczy i zacząłem usypiać, wkrótce jednak straciłem równowagę i przewróciłem się na grubą, śpiącą kobietę. Wstałem – i nagle spostrzegłem jasnowłosego chłopca. Tulił go w ramionach polski oficer w dopasowanym mundurze, błyszczącym od orderów. Matka szła obok prowadząc psa. Ojciec całował chłopca, a ten promieniał ze szczęścia.

– Tutaj! – zawołał jakiś głos. – Tutaj! – powtórzył po rosyjsku.

Obróciwszy się w prawo zobaczyłem, że kiwa do mnie uśmiechnięty rosyjski żołnierz. Zawahałem się, ale po chwili zabrałem swoje rzeczy i podszedłem.

– Znajdzie się tu miejsce dla nas obu – powiedział wesoło. – Siadaj. – Przestawił małą walizkę na drugą stronę.

Bąknąłem „dziękuję" i nieśmiało usiadłem. Dość długo przyglądaliśmy się sobie bez słowa. Żołnierz cały czas się uśmiechał, co w końcu kazało i mnie się uśmiechnąć.

– Teraz lepiej – pochwalił – ładniejszy jesteś, kiedy się uśmiechasz.

Roześmieliśmy się głośno obaj.

Szukałem na jego twarzy jakiegoś znaku, że mnie poznaje. Bo może był moim ojcem. Byłby to prawdziwy cud. Bardzo był podobny do ojca. Tylko, niestety, nie miał blizny.

Przestań, nie jest twoim ojcem – rozzłościł się jeden z moich głosów. – Każdego spotkanego człowieka bierzesz za ojca. A pewnie nawet nie pamiętasz, jak ojciec wygląda.

Pamiętam, doskonale!

Znów badawczo przyjrzałem się żołnierzowi. Był starannie ogolony, włosy miał ostrzyżone, kurtkę od munduru świeżo wyprasowaną. Spodni i butów nie widziałem, bo do pasa nakrył się wojskowym kocem. Zęby miał równe, a spojrzenie jego ciemnych, smutnych oczu przenikało w głąb duszy. Sięgnął po swoją walizeczkę, uchylił wieko i zapytał:

– Może byś coś zjadł?

– Nie, dziękuję – odparłem, choć umierałem z głodu.

– Nie wstydź się – powiedział z uśmiechem. – Możemy się podzielić.

Przysunął do mnie walizeczkę, żebym obejrzał zawartość. Był tam spory kawał kiełbasy, bochenek chleba i kilka dużych tabliczek niemieckiej czekolady. Żołnierz wyjął z kieszeni scyzoryk, otworzył go i zaczął kroić kiełbasę. Chleb połamał rękami.

– Jedz – zachęcił – mnie nie musisz się wstydzić.

Wziąłem kiełbasę i chleb, i jadłem tak jak żołnierz, nie odrywając od niego oczu.

– Gdzie są twoi rodzice? – spytał między jednym a drugim kęsem. Nie odpowiedziałem, więc prędko dodał:

– Przepraszam, wybacz, że się zapytałem.

– Jestem Żydem – wybuchnąłem nagle. – Mój ojciec jest w Rosji, może pan go zna, nazywa się Kuperblum.

Żołnierz odgryzł następny kęs i zaprzeczył ruchem głowy.

– Poczęstuj się czekoladą. Ci zbrodniarze robią dobrą czekoladę.

– Był pan w Niemczech?

– Tak, biłem się o Berlin.

– A może przypadkiem bił się pan też o Puławy?

– Nie. Co to jest, miasto czy wieś?

– Miasto. Dziwne, że pan o nim nie słyszał.

– Przykro mi – powiedział.

Widzisz – syknął mój głos. – Nie tylko że nie jest twoim ojcem, to na dodatek nie wie nic o twoim rodzinnym mieście.

Może udaje – odparowałem gniewnie.

Położyłem się z belgijskim płaszczem pod głową zamiast poduszki.

– Śpij, chłopcze. – Żołnierz narzucił na mnie własny płaszcz.

Lampy u sufitu świeciły jasno, niedaleko ktoś płakał, ścienny zegar nad drzwiami wskazywał drugą w nocy. Mimo chrapania, pomruków, szlochów i ogólnego zgiełku dolatywało mi do uszu bardzo wyraźne gwizdanie. Ktoś gwizdał kołysankę Schuberta, zupełnie tak samo jak mój ojciec.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, obudziwszy się rano, były kule. Jakiś jednonogi człowiek poruszał się o kulach. Sądząc po spodniach, domyśliłem się, że to żołnierz. Powędrowałem oczyma do góry i zatrzymałem wzrok na twarzy. Twarz nachyliła się ku mnie. Uśmiechnięta, znajoma twarz z minionej nocy.

– Spałeś dobrze?

– Tak. Dokąd pan idzie?

– Ktoś ma mnie stąd zabrać.

Wstałem i zebrałem swoje rzeczy.

– A ty, chłopcze? Dokąd ty pójdziesz?

– Nie wiem jeszcze – powiedziałem. – Prawdę mówiąc, w ogóle nie wiem, co ze sobą robić. Gdybym miał akordeon, grałbym na ulicach.

Oczy mu rozbłysły.

– Umiesz grać?

Spuściłem głowę.

– Nie bardzo. Ale chciałbym się nauczyć.

– To chodź ze mną.

– A co będę z panem robił?

– Wstąpisz do wojska. Damy ci mundur i będziesz łącznikiem. Albo lepiej: doboszem w orkiestrze.

– Naprawdę? – spytałem radośnie.

– Naprawdę – powiedział. – Chodź. Może nawet nauczą cię grać na akordeonie.

Spostrzegł kogoś, machnął ręką i krzyknął:

– Tutaj, tutaj!

Przez ruchliwy tłum przedarła się piękna młoda Rosjanka w mundurze. Stanęła salutując żołnierzowi. Potem wzięła jego płaszcz i walizkę, on zaś szepnął jej coś do ucha. Spojrzała i otoczyła mnie ramieniem.

– Chodź z nami – poprosiła głosem słodkim jak muzyka.

Z trudem zaczęliśmy torować sobie drogę i wkrótce znaleźliśmy się na schodach, które prowadziły z budynku dworcowego do miasta.

Ulice Lublina zasnuwała poranna mgła, nie było widać żywej duszy. Martwa cisza i obcość. Przy krawężniku czekał wojskowy samochód.

– Wsiadaj, chłopcze – powiedział przyjaźnie żołnierz, otwierając drzwiczki.

Uśmiechnąłem się i odrzekłem:

– Chcę poszukać swoich.

– Zatem powodzenia. – Uścisnął mi rękę. A dziewczyna, nim wsiadła, objęła mnie i ucałowała. Odchodziłem już, gdy żołnierz zawołał:

– Czekaj, czekaj!

Podbiegłem do samochodu.

– Weź. – Dał mi resztę czekolady.

– Niech pan o mnie pamięta – powiedziałem błagalnie. – I zawiadomi mego ojca, że go szukam. Może gdzieś go pan spotka. Nazywa się Zelik Kuperblum.

Skinął głową, uśmiechnął się i odjechał.

Dzień dopiero się zaczynał, w gęstej jak mleko mgle szedłem prawie po omacku. Nie widziałem nikogo, słyszałem tylko kroki i warkot samochodów. Niepewnie, w strachu, podążałem naprzód.

Wkrótce daleko za domami rozbłysło słońce i ukazała się cała ulica. Stanąłem czując się jak zwierzę wywabione z lasu. Przerażony, zaszczuty, gdybym mógł, chętnie wróciłbym do Malinówki.

W szybie wystawowej odbijał się obraz młodego chłopca. Miał krótko ostrzyżoną głowę, podarte bawełniane spodnie i brudne bose nogi. Patrzył poważnie, zbyt poważnie. W ręku trzymał węzełek, przez ramię przerzucił zielonkawy belgijski płaszcz wojskowy ze złotymi guzikami.

– Czy to naprawdę ja? – zapytałem sam siebie. – Ciekawe, czy ojciec by mnie poznał.

W szybie odbijali się również inni ludzie. Biegali w lewo, biegali w prawo, im wyżej wznosiło się słońce, tym ruchliwsza stawała się ulica. Po kocich łbach jeździły liczne ciężarówki i wozy zaprzężone w konie. Gdzie spojrzeć – żołnierze i cywile, z głodem wypisanym na twarzach, czasami inwalidzi, podobnie zagubieni i niepewni jak ja.

Dokąd pójść? Ulice były tak nieprzyjazne, a ludzie tak różni od tych, których znałem. Zwróciłem się do jakiegoś

przechodnia, ale pytanie, które sobie ułożyłem, zamarło mi na ustach, i uciekłem. Bo gdybym spytał o Żydów, przechodzień wziąłby i mnie za Żyda, i może zabił.

Takie oto myśli krążyły w mojej skołatanej głowie. W końcu upatrzyłem sobie kogoś, kto szedł w moim kierunku, i udając obojętność, rzuciłem od niechcenia:

– Podobno Żydzi wrócili do Lublina? Gdzie mieszkają?

Zagadnięty był ubrany jak wieśniak, mimo że było dość ciepło, nosił futrzaną czapkę, ciężki krótki kożuch i grube buciska.

– Jesteś Żydem? – zawołał ostro.

– Skądże! – zaprzeczyłem. – Po prostu pytam.

Ruszyłem szybciej, żeby go wyprzedzić.

– Zaczekaj! – krzyknął. – Chodź ze mną, pokażę ci.

Szliśmy w milczeniu. Skręciliśmy raz, skręciliśmy drugi, przecięliśmy rynek i podążaliśmy jakąś aleją.

– Spójrz tam – odezwał się wreszcie mój towarzysz i wskazał jadącą dorożkę. Powoził starszy człowiek, pasażerów było dwóch, dobrze ubranych.

– Żydzi.

Zabiło mi serce.

– Skąd pan wie?

– Przecież widać – brzmiała odpowiedź.

Przyjrzałem się pasażerom dokładniej. Zauważyłem haczykowate nosy, czarne, chytre oczka i nieskazitelne marynarki. Ale największe wrażenie wywarło na mnie to, że siedzieli wygodnie, wiezieni przez goja.

Czemu rozbijają się dorożkami, a nie chodzą pieszo jak wszyscy? – pomyślałem i okropnie się zawstydziłem. Coraz wyraźniej widziałem, że popełniłem błąd, przyjeżdżając do Lublina. Nic mnie z tymi ludźmi nie łączyło. Mierził mnie handel i lichwa, nie chciałem prowadzić interesów, sprzedawać śledzi lub butów i najmować chrześcijańskich dorożkarzy. Chciałem uprawiać ziemię i żyć z pracy własnych rąk. A przede wszystkim – nie być Żydem.

– Chodź, chodź! – naglił mój towarzysz. Zobaczyłem, że oddalił się już spory kawałek. – Śpieszę się – wyjaśnił, kiedy go dogoniłem.

Minęliśmy zbombardowaną część miasta i znaleźliśmy się na ulicy biegnącej pod górę.

Może powinienem wrócić czym prędzej do Malinówki albo do Pejzaków? Szkoda, że nie zostałem u Gogulków. Głupi byłem, strasznie głupi. Ciekawe, co robi teraz pan Kozak? A gdybym poszedł na szosę i spróbował zabrać się jakimś samochodem do Piasków?

– Tam! – Mój towarzysz pchnął mnie ku niskiemu, krępemu mężczyźnie o szerokim nosie i krótkich, czarnych, kędzierzawych włosach.

– Jeden z twoich – powiedział na pożegnanie.

Oparty o płot mężczyzna zapalił właśnie papierosa. Zaciągnął się, przekrzywił głowę. Patrzył na mnie podejrzliwie.

– Czego chcesz? – odezwał się wreszcie.

– Czy pan jest Żydem? – Wlepiałem w niego wzrok, jakby był okazem jakiegoś rzadkiego zwierzęcia.

– Czego chcesz? – powtórzył i cofnął się od płotu.

– Też jestem Żydem.

– Idź sobie, chłopcze – podniósł gniewnie głos. – Dosyć mamy własnych kłopotów.

Ruszył do drzwi, otworzył je i byłby już zniknął za progiem, ale podbiegłem i uczepiłem się jego kurtki.

– Błagam, musi mi pan uwierzyć. Jestem Żydem. Niech mi pan pomoże.

Mężczyzna odwrócił się i zagadał do mnie po żydowsku.

– Nie rozumiem, przez tyle lat zapomniałem.

Jeszcze raz spojrzał podejrzliwie, widać było, że się waha.

– Poczekaj chwilę – mruknął, a potem zawołał: – Estera, chodź no tutaj!

W progu stanęła piękna kobieta. Włosy miała czarne, długie, oczy żywe, błyszczące.

– Co to za chłopak? – zapytała.

– Żyd. Przynajmniej tak twierdzi.

Kobieta przyjrzała mi się, uśmiechnęła najpierw lekko, potem szerzej, a wreszcie wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Zaraziła tym śmiechem męża, oboje wręcz zataczali się ze śmiechu i nim się spostrzegłem – weszli do mieszkania, ryglując za sobą drzwi. Zrozpaczony, zacząłem się dobijać.

– Wynoś się, nie chcemy kłopotów!

Nadal dobijałem się z całej siły.

– Wezwiemy policję – zagrozili.

– Musicie mi uwierzyć! – odkrzyknąłem.

W końcu otworzyli.

– Ściągnijcie mi spodnie, przekonajcie się, że nie kłamię.

Popatrzyli na siebie, potem na mnie.

– Skąd jesteś? – zapytał mężczyzna.

– Z Puław – odpowiedziałem szybko.

– Jak się nazywasz?

– Kuperblum. Jankełe Kuperblum.

– Kim był twój ojciec?

– Szewcem.

– A dziadek?

– Piekarzem.

– No dobrze – ustąpił mężczyzna. – Chodź ze mną. Jest tu ktoś z Puław, kto będzie wiedział, czy mówisz prawdę.

Kobieta kręciła jednak głową i powtarzała:

– Wygląda jak chłopak ze wsi, wcale nie jak Żyd.

Mężczyzna poprowadził mnie przez ciemny korytarz. Zastukał do jakichś drzwi.

– Proszę – odezwał się gardłowy głos.

Weszliśmy do małego pokoiku, w którym jedynym źródłem światła było wąskie okno przesłonięte kołdrą.

Na dużym żelaznym łóżku, zajmującym większą część pokoju, wylegiwał się grubas o rudych kręconych włosach.

Dokoła niego i po nim skakało ośmioro czy dziesięcioro dzieci w różnym wieku – wypisz-wymaluj stary niedźwiedź baraszkujący z młodymi. Grubas mruczał, chrząkał, kaszlał, spluwał, wreszcie spostrzegł mnie.

– A to kto?

– Podobno Żyd z Puław.

Niedźwiedź usiadł i kiwnął, bym się zbliżył.

– Czyim jesteś synem? – zapytał.

– Zelika Kuperbluma – odparłem trochę przestraszony.

– Zelika, powiadasz. Toś wnuk Szajajety?

– Tak – potwierdziłem.

– Ktoś z twojej rodziny jest w Lublinie. Mieszka przy tej ulicy.

Zadrżałem ze wzruszenia i ciekawości, kto mógł ocaleć. Mężczyzna, z którym przyszedłem do niedźwiedzia, zaprowadził mnie zaraz pod wskazany adres.

Może żyje wujek Mendel? – zgadywałem idąc ulicą. – Albo Mosze, albo nawet Szepsel...

Wprowadził mnie do zakładu fryzjerskiego i przedstawił właścicielowi, łysemu karzełkowi, w którego oczach migotały wesołe iskierki. Akurat kogoś golił, był więc zajęty. Ale wysłuchał cierpliwie, co miałem do powiedzenia, po czym westchnął:

– Nie do wiary. Syn Zelika. Przecież nawet nie jesteś podobny do Żyda. – Połapał się jednak natychmiast i – zauważyłem – szczerze żałował swoich słów. – Syn Zelika żyje! – pokrzykiwał teraz. Wypadł z zakładu i na całe gardło wrzasnął ku oknu na pięterku:

– Sara, Sara!

Wychyliła się młoda kobieta.

– Zejdź do nas, prędko!

Kobieta pędem zbiegła po schodach. Dysząc weszła do zakładu i niespokojnie spytała:

– Stało się coś?

– Jak ci się zdaje, kto to jest? – Fryzjer wskazał na mnie.

– Nie mam pojęcia – odparła.

– Więc zgadnij. Kogo ci przypomina?

Obejrzała mnie dokładnie od stóp do głowy, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Bo ja wiem. Jakiś wiejski chłopak.

Po obiedzie fryzjer i jego żona zasypali mnie pytaniami, jak się uratowałem, czy wiem coś o rodzicach, kiedy ostatni raz widziałem dziadka, piekarza. Później wytłumaczyli mi, jakie nas łączy pokrewieństwo.

Moim zdaniem, było ono bardzo dalekie, ale wolałem tego nie mówić. Przeciwnie, udawałem radość, że jest ktoś, kto chce, bym uważał go za kuzyna.

– Pamiętam twoją matkę w ciąży – opowiadał fryzjer. – Zanim tyś się urodził... Piękna była kobieta, musisz wiedzieć. A śpiewała jak kanarek. Ojcu też niczego nie brakowało. Spryciarz był, nikt go nie oszukał. Grał na mandolinie, uczył tańca, a dziewcząt miał zawsze tyle, że przebierał jak w ulęgałkach.

– Wstydziłbyś się, Szmul – wtrąciła kuzynka Sara.

– Rozumie się, w kawalerskich czasach – dodał szybko Szmul.

Mieszkanie kuzynów było strasznie ciasne – dwa maleńkie pokoiki, z których jeden służył za kuchnię, a drugi za sypialnię. Na stole, przy którym jadaliśmy, stał wazon z bukietem świeżych kwiatów, kredens zdobiły oprawione fotografie różnych staruszków, na ścianie wisiał pożółkły obrazek kota bawiącego się kłębkiem wełny. Wyszorowane do czysta podłogi były przykryte gazetami. Z pieca dobywała się woń, przypominająca mi dom rodzinny w Puławach. Kuzynka Sara siekała na desce rybę i stukanie noża także budziło wspomnienia. Nagle zobaczyłem matkę, jak sieka rybę. Robiła to co piątek.

Zapach rosołu łaskotał mi nozdrza, w ślad za zapachem napływały nowe obrazy. Siedziałem i przyglądałem się, niewiele mówiąc. Zaproponowałem, że pomogę, i wtedy kuzynka Sara kazała mi oskrobać marchew i pokrajać cebulę. Tak w ogóle częściej uśmiechaliśmy się do siebie, niż odzywali.

Pod wieczór kuzynka Sara nakryła stół białym płóciennym obrusem i ustawiła dwa srebrne świeczniki. Gdy słońce zaszło, kuzyn Szmul zamknął swój zakład fryzjerski i wszyscy troje usiedliśmy do posiłku. Sara zapaliła dwie świece, narzuciła na głowę biały szal i z przymkniętymi oczami, wykonując dziwne gesty, pobłogosławiła świece. Przyjrzałem się jej twarzy i pomyślałem, że wygląda prawie tak, jak moja matka.

A może jest moją matką? A Szmul – ojcem? Kto wie? Nie ma rzeczy niemożliwych.

Najpierw jedliśmy gefilte fisz, czyli rybę faszerowaną, z chrzanem i chałką, potem Sara wniosła wielką wazę rosołu z makaronem i białą fasolą. Smak wydawał mi się równocześnie znajomy i nieznajomy. Patrzyłem na płonące świece, na twarze kuzynów, i spostrzegłem, że i oni mnie obserwują.

Może jem nieładnie? – pomyślałem.

– Nie smakuje ci, Jankele? – zapytała kuzynka Sara, gdy na chwilę przestałem jeść.

Szybko chwyciłem łyżkę, ale łzy trysnęły mi z oczu prosto w talerz. Nie otarłem tych łez. Nie chciałem, by zauważyli, że płaczę, spuściłem głowę i jadłem rosół doprawiony łzami.

– Zostaniesz u nas tak długo, jak zechcesz – powiedział kuzyn Szmul.

– Będziemy cię traktowali jak syna – dodała jego żona.

Zagrzała dla mnie miskę wody. Umyłem ręce, umyłem twarz, ale nóg w żaden sposób nie mogłem domyć.

– Trzeba będzie kupić ci buty – zauważył Szmul.

Następnie Sara wręczyła mi piżamę Szmula. Kiedy się przebrałem i spojrzałem na swoje odbicie w lustrze, parsknąłem śmiechem. Wyglądałem jak klown. Oni oboje również się roześmieli i w tym wesołym nastroju zaprowadzili mnie do sypialni. Po raz pierwszy, odkąd rozstałem się z matką, wtuliłem głowę w prawdziwą poduszkę i okryłem się prawdziwą kołdrą.

Sypialnia tonęła w ciemnościach, z kuchni dochodziły odgłosy rozmowy. Ale kuzynowie rozmawiali chyba po żydowsku.

Ciekawe o czym. Na pewno o mnie.

Powieki mi opadły i niebawem zasnąłem.

Zbudziwszy się rano, zobaczyłem, że leżę pośrodku łóżka, między Szmulem i Sarą. Spali jeszcze.

Ogarnął mnie straszny wstyd, bo pościel pode mną była mokra.

Chciałem zerwać się, uciec, nie pokazywać się tu więcej, ale najlżejszy ruch obudziłby kuzynów. Gdybym miał skrzydła, wyfrunąłbym przez okno – pomyślałem.

W końcu zaryzykowałem. Powoli wygramoliłem się z łóżka i bezszelestnie ubrałem. Na palcach zbiegłem ze schodów, wymknąłem się na ulicę i popędziłem przed siebie aż na rynek, gdzie kupcy otwierali właśnie swoje kramy.

Wschodziło słońce, całe miasto strząsało resztki snu i zabierało się do codziennej pracy. Przyglądałem się ludziom, domom, rozpoznałem jedną ulicę.

Nagle przyszła zima, miasto pobielił śnieg. Matka niosła kilka węzełków i powtarzała: „Trzymaj się mnie, Jankełe." Na skrzyżowaniu stali niemieccy żołnierze z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału.

– Prędzej! – popędzali nas.

– Trzymaj się mnie, Jankełe – poleciła znów matka.

Wielki gmach przede mną wirował, słońce świeciło mi prosto w oczy i migotało, migotało. Ludzie szli do tyłu,

a nie do przodu, i mieli twarze gładkie jak kartofle, bez rysów.

– Gdzie moja mama? – zawołałem głośno. – Przecież się jej trzymałem!

Gromadzili się gapie, chciałem uciec, ale bolały mnie kolana, nie mogłem nawet ustać. Czułem, że chwyta mnie gorączka i ni stąd, ni zowąd zwymiotowałem, chlusnąłem na czysty chodnik kawałkami gefilte fisz i słodkawym rosołem z białymi ziarnkami fasoli.

Kilka dni leżałem w łóżku. Pochylał się nade mną doktor o wielkich, wyłupiastych oczach. Pamiętam nie kończące się szeregi szklanek herbaty i lemoniady, szepty z sąsiedniego pokoju w obcym, żydowskim języku i mój własny pokój kołyszący się w prawo i lewo, jak statek na wzburzonym morzu.

Ledwie wyzdrowiałem, kuzynka Sara zaprowadziła mnie do urzędu ewidencyjnego. Po trzeszczących schodach wspięliśmy się na trzecie piętro obskurnej, częściowo zbombardowanej kamienicy. W korytarzu tłoczyli się mężczyźni i kobiety w różnym wieku. Jedni czekali cierpliwie wpatrzeni w przestrzeń, drudzy rozmawiali i usiłowali spacerować. Wszyscy byli Żydami.

Jacy mizerni – pomyślałem. – Aż przezroczyści.

Uśmiechnęła się do mnie jakaś bezzębna staruszka, ale odwzajemniłem się chłodnym spojrzeniem. Wtedy ona uśmiechnęła się jeszcze szerzej i poczęstowała mnie cukierkiem. Odwróciłem głowę udając, że nie widzę i zastanawiając się – ja, Żyd-nie-Żyd – czego ode mnie chce.

Usiedliśmy. Co pewien czas zza drzwi pokoju biurowego wystawiała głowę młoda dziewczyna i wołała: „Następny!"

Ściany korytarza były oblepione karteczkami. Na niektórych widniały tylko nazwiska, na innych prócz na-

zwisk były też jakieś informacje czy pozdrowienia. Karteczek napisanych po żydowsku nie umiałem odczytać.

„Był tu Mosze Ziglebojm" – głosiła jedna karteczka. A druga krótko: „Ania Meliman." Trzecia informowała: „Szmil Zajfman żyje i wyjechał do Łodzi."

Wędrowałem oczami po wszystkich czterech ścianach, aż zakręciło mi się w głowie, ale nie znalazłem ani nazwiska Kuperblum, ani Mosze Szejn.

– Nalep i ty karteczkę – poradziła Sara.

– Nie! – odparłem stanowczo.

– Następny! – zawołała dziewczyna i Sara pociągnęła mnie za rękaw.

Weszliśmy do małego pokoiku, niski mężczyzna w okularach wskazał nam krzesła. Rozmowa toczyła się między urzędnikiem a Sarą, mówili jednak po żydowsku, niczego więc nie rozumiałem. Domyślałem się tylko, że mówią o mnie.

Oblizując pióro urzędnik przystąpił do zadawania pytań: „Jak się nazywasz? Gdzie się urodziłeś? Kiedy? Imię ojca?"

Przerywał tylko po to, żeby umoczyć pióro. Kiedy zapisał już wszystkie moje odpowiedzi, wszystkie daty, nazwiska i miejsca – zainteresował się szczególnie kowalem Tekalewiczem.

– Powiadasz, że groził ci pistoletem? – Przyjrzał mi się przez grube okulary. – Możemy go za to aresztować. – Zanotował coś na osobnej kartce.

Zerwałem się i wrzasnąłem:

– Nie! Nie chcę jego krzywdy!

Urzędnik zdjął okulary i przetarł je chusteczką.

– Mógł cię zabić. Dlaczego nie chcesz, żebyśmy go ukarali?

Włożył z powrotem okulary, uśmiechnął się i nachylił do mnie.

– Przecież sobie zasłużył. Wsadzimy go do paki.

– Nie! – wrzasnąłem znowu. – Nie wolno wam go krzywdzić.

– Dlaczego? – Twarz mu spoważniała.

– Bo – zająknąłem się – bo nie chcę, żeby uważał mnie za donosiciela.

Urzędnik popatrzył najpierw na Sarę, potem na mnie.

– A co ci na tym zależy?

– Nie chcę, żeby myślał o mnie źle.

Porozmawiali jeszcze chwilę po żydowsku i wyszliśmy. Na korytarzu kuzynka Sara znów nalegała, bym nalepił karteczkę ze swoim nazwiskiem.

– Nigdy nic nie wiadomo – przekonywała. – Dzięki temu ktoś może cię odnaleźć.

– Chodźmy. – Pchnąłem ją ku drzwiom, a sam zbiegłem ze schodów po trzy stopnie naraz, nie zważając na rozpaczliwe krzyki Sary:

– Zaczekaj, Jankełe, zaczekaj!

Nie stanąłem, nawet nie zwolniłem. Pragnąłem uciec jak najdalej od człowieka w grubych okularach, od nieznajomych twarzy w korytarzu, od białych karteczek z obcymi nazwiskami.

Chodziłem teraz z Sarą do sklepów, przesiadywałem w zakładzie fryzjerskim patrząc, jak kuzyn Szmul strzyże klientów, i słuchając jego zabawnych dykteryjek, czasem zaś włóczyłem się po ulicach i przyglądałem twarzom przechodniów. Modliłem się, żeby któraś z tych twarzy okazała się twarzą matki albo ojca, albo wujka Mosze, albo kogokolwiek z moich bliskich.

Kiedy nic takiego się nie stało, wpadłem na nowy pomysł: to ja będę tym śmiałkiem, który schwyta Hitlera!

Przez kilka dni szukałem w mieście potwora z wąsikiem. Pomysł nie jest głupi – mówiłem sobie. – Wcale niewykluczone, że Hitler ukrywa się w Lublinie, na tym świecie wszystko jest możliwe.

Nocami zamiast spać marzyłem o sławie, jaka bez wątpienia mnie czeka, kiedy mój zamiar się powiedzie. Miałem na oku kilka osób, podejrzani okazali się jednak zwyczajnymi ludźmi, którzy nawet nie znali niemieckiego. Mimo to nie traciłem nadziei. Uda się, musi się udać!

Pewnego ranka udałem się na stary rynek i sprzedałem belgijski płaszcz. Wieczorem tego dnia moi kuzyni, z oczami wlepionymi w podłogę, przerywanymi zdaniami powiedzieli mi, że dla mego własnego dobra należałoby umieścić mnie w sierocińcu.

– Nie myśl, że chcemy się ciebie pozbyć, Jankełe – zapewnił kuzyn Szmul. – Możesz u nas zostać, jeżeli wolisz. Ale ze względu na swoje dobro nie powinieneś. Będzie nam ciebie brakowało, będziemy za tobą tęsknić, ale przynajmniej będziemy wiedzieli, że zatroszczyliśmy się o ciebie tak jak trzeba.

– Będziesz miał kolegów i koleżanki w twoim wieku. – Kuzynka Sara zmuszała się do uśmiechu. – Pójdziesz do szkoły, dostaniesz osobne łóżko. Tu jest taka ciasnota.

– Będziemy cię często odwiedzali – obiecał Szmul.

– A ty będziesz odwiedzał nas – dodała jego żona. – Zaufaj nam, kochamy cię jak rodzonego syna, ale w sierocińcu będzie ci lepiej.

Nazajutrz zaprowadziła mnie do budynku stojącego przy dość eleganckiej ulicy. Weszliśmy do kancelarii na drugim piętrze, gdzie kazano nam poczekać. Za biurkiem siedziała dziewczyna z długimi czarnymi włosami. Miała białą bluzkę i ładny złoty naszyjnik, rodzaj medalika, z małą gwiazdą Dawida.

Zapatrzyłem się na tę gwiazdę i zobaczyłem moją matkę w Warszawie, przy maszynie, szyjącą opaski z niebieskimi gwiazdami Dawida.

– Chłopiec się nie nadaje – usłyszałem kobiecy głos. Wyrok oznajmiła kuzynce Sarze tęga, krótko ostrzyżona kobieta w białym kitlu i białych pantoflach. Mówiąc kołysała się z boku na bok.

– Więc co mam zrobić? – zmartwiła się Sara.

– Nie możemy przyjąć chłopca w tym stanie. – Kobieta podeszła i obejrzała mnie ze wstrętem. – Nie widzi pani – krzyknęła – że chłopca trzeba wykąpać, przebrać, zeskrobać z nóg tę skorupę brudu, obuć go!... – Dotknęła moich włosów. – Na pewno ma wszy.

– Właśnie po to go przyprowadziłam, żebyście się nim zajęli. Ja nie mam warunków.

– Moja dobra kobieto, nie możemy wpuszczać tu kogoś, kto zarazi dzieci wszawicą.

– Co mi pani opowiada! – Sara wpadła w złość. – Że tamte dzieci przyszły tu z lasów, piwnic i obozów śmierci w białych koszulkach, z czystymi paznokciami? Ten chłopiec też jest sierotą i potrzebuje pomocy.

Tłuściocha aż podskoczyła.

– Tamte dzieci nie mają nikogo, a ten chłopiec ma panią!

– Nie posyłajcie mnie tam – płakałem, kiedy wieczorem Sara walcząc z brudem szorowała mnie ostrą szczotką.

– Nie bój się, będą dla ciebie dobrzy – pocieszyła mnie moja kuzynka i zanurzyła mi głowę w misce gorącej wody.

Rano pożegnałem się z kuzynem Szmulem i znów we dwójkę z Sarą poszliśmy do domu dziecka. Znowu kazano nam czekać, a potem znów ta sama tęga, ubrana na biało kobieta oglądała mi głowę, sprawdzała ręce i patrzyła z odrazą na bose nogi.

– Nie domyte – orzekła.

– Robiłam, co mogłam – broniła się Sara.

Kobieta dotknęła białej koszuli, którą miałem na sobie, i spytała złośliwie:

– Nie za duża dla niego?

– To koszula mojego męża, ale czysta – odpowiedziała Sara.

– No dobrze, przyjęty – ustąpiła tłuściocha i rozkazała mi:

– Powiedz do widzenia i chodź ze mną.

Podniosłem oczy na kuzynkę Sarę.

– Jankełe, wierz mi, robimy to tylko dla ciebie – zaczęła Sara. – Oboje będziemy strasznie tęsknić, ale to dla twojego dobra, naprawdę.

Starałem się uśmiechać i kiwałem głową.

– Będziesz nas odwiedzał, prawda? – Sara uściskała mnie, puściła i poszła ku schodom.

– Chodź! – przynagliła tłuściocha.

Ruszyłem posłusznie.

Z przeciwległego końca korytarza nadbiegła grupa dobrze ubranych chłopców i dziewczynek, wrzeszczących i roześmianych. Przestraszyłem się tych dzieci, chciałem uciec do Sary, ale nie było jej już widać.

Na dole, na ulicy, odbywała się barwna defilada. Łopocące sztandary, kawaleria z szablami, czołgiści, piechota, równo, w jednym rytmie, z głowami uniesionymi wysoko, w galowych mundurach, które lśniły w słonecznym blasku. Szła i grała wojskowa orkiestra dęta, młody żołnierzyk, mniej więcej w moim wieku, bębniąc maszerował na końcu. Chodniki były zatłoczone ludźmi, którzy wiwatowali, a niekiedy rzucali kwiaty. Na balkonach i w oknach widzowie bili brawo. Ulicę i budynki udekorowano chorągiewkami, transparentami i olbrzymimi portretami. Przeważnie nie wiedziałem, kogo te portrety przedstawiają, tylko jeden znałem dobrze – Józefa Stalina. Jego gigantyczna twarz patrzyła na mnie ze ściany naprzeciw okna, z którego wyglądałem, wzrok wyrażał zrozumienie, usta się uśmiechały. Mądra, uczciwa twarz.

Sypialnia była pusta, bo wszyscy wybiegli na ulicę, żeby podziwiać defiladę z bliska.

Zostałem tylko ja. Chociaż minęło już kilka dni, odkąd znalazłem się w sierocińcu, wciąż czułem się onieśmielony, nieswój, i bałem się innych dzieci. One również były wobec mnie nieufne, a czas zamiast łagodzić tylko pogarszał sytuację. Chłopcy nieustannie grali w piłkę, ja nie umiejąc grać odmówiłem parę razy udziału, przestali mnie więc zapraszać. Najchętniej włóczyłem się po ulicach Lublina i patrzyłem w twarze. Patrzyłem, zawsze patrzyłem.

Koledzy śpiewali piosenki, żartowali, grali w różne gry i swobodnie trajkotali po żydowsku, ja zaś siedziałem w kącie mego piętrowego łóżka, gapiłem się i czułem kimś obcym.

Może by uciec? – pomyślałem.

A dokąd? – zaciekawił się jeden z moich głosów.

Gdybym miał akordeon, chodziłbym po ulicach, grał, śpiewał i jakoś sobie radził.

Niekiedy ponosiła mnie fantazja i widziałem już, jak gram i głośno wyśpiewuję piosenkę *Tiomnaja nocz'*. Ludzie przystają, wychylają się z balkonów i tak jak podczas defilady – rzucają kwiaty i klaszczą.

Na wystawach sklepowych widywałem akordeony. Czasem zatrzymywałem się i, rozmarzony, podziwiałem je godzinami.

Koledzy zbijali się wieczorem w grupki, coś sobie opowiadali, grali w szachy albo w ping-ponga, ja zaś tkwiłem przy oknie i patrzyłem na portret Stalina po przeciwnej stronie ulicy.

Któregoś wieczoru głos wewnętrzny szepnął mi, że Stalin wygrał wojnę, kocha Żydów, i gdyby znał moje zmartwienia, to przysłałby mi akordeon.

Napiszę list do Stalina – odszepnąłem głosowi. – Napiszę do Stalina list!

Uzbrojony w papier i ołówek, wdałem się w długi, szczegółowy opis, kim jestem i dlaczego potrzebuję instrumentu. Następnego dnia wrzuciłem list do skrzynki i znów usiadłem przy oknie, czekając na odpowiedź.

Siedziałem tak i czekałem, a koledzy chodzili na wycieczki, grali w piłkę i – zwłaszcza nocą – płatali sobie różne figle. Gdy tylko ubrana na biało tłuściocha, która rzekomo zastępowała nam matkę, obwieściła, że pora gasić światło – sypialnia chłopców, z dwoma rzędami piętrowych łóżek, zaczynała tętnić życiem.

Rozbłyskiwały latarki, kilku chłopców skradało się do śpiącej ofiary i na oczach trzymającej się z daleka reszty wsuwało jej między palce rąk i nóg kawałeczki papieru. Podpalali potem te papierki, a zabawa nazywała się „rower", gdyż przypiekana przez sen ofiara wymachiwała rękami i nogami tak, jakby jechała na rowerze.

Kiedy indziej malowali ofiarę. Największą uciechę sprawiało ochlapywanie jaskrawą farbą członka i twarzy. Pewnej nocy grupa łobuzów wdarła się do sypialni dziewcząt i pomazała twarze wszystkim, co do jednej. Obudziwszy się rano i popatrzywszy na siebie, dziewczynki na przemian lamentowały i pękały ze śmiechu.

Następnej nocy parę dziewczynek wśliznęło się do sypialni chłopców. Jak się zemściły, okazało się rano, kiedy zadźwięczał dzwonek i wskakiwaliśmy w spodnie. Pozaszywały nam nogawki.

Chłopcy zorganizowali więc kolejną wyprawę przeciw dziewczynkom. Tym razem przywiązali im do kołder sznurki. Końce tych sznurków były splecione w węzeł, dzięki czemu wystarczyło jedno szarpnięcie, aby ściągnąć z dziewczynek kołdry i napędzić im strachu.

Jeden chłopak, starszy od wielu z nas, przezywany był „koniem". Rozprawiał nieustannie o swoim członku, a no-

cami onanizował się tak, że aż łóżko trzeszczało. Kiedyś koledzy przywiązali jeden koniec cieniutkiej, ale mocnej nitki do jego członka, a drugi do klamki. Gdy nazajutrz rano „matka", przychodząc nas budzić, otworzyła drzwi, „koń" wrzasnął i zwinął się z bólu, co figlarze powitali salwami śmiechu. Najwymyślniejszą i najbardziej lubianą zabawą było jednak tak zwane „burzenie Stalingradu". Usuwało się w pryczy deski spod materaca, wskutek czego ofiara wskakująca do łóżka spadała na łeb na szyję albo wprost na podłogę, albo na sąsiada z dolnej pryczy.

W ten sposób któregoś wieczoru uległy zniszczeniu wszystkie prycze, a poduszki i kołdry fruwały po całej sypialni. „Burzenie Stalingradu!" – krzyknął jeden kolega, drugi rozdarł poduszkę, reszta ochoczo się przyłączyła. Prycze się waliły, pierze unosiło się w powietrzu jak gęsta, poranna mgła. Nie widziałem nic, słyszałem tylko wrzask: „Burzenie Stalingradu!"

Mijały dni i tygodnie, nie było nocy, żeby nie wypłatano komuś złośliwego figla. Bałem się zasnąć w oczekiwaniu na swoją kolej, uparcie walczyłem ze snem, ale, dziwna rzecz, nic mi nie zrobiono. Podobnie jak w dzień, nie istniałem dla kolegów w nocy.

Byłem jakby samotną wyspą, gorzej – cieniem, duchem albo nawet mniej niż cieniem czy duchem. Miałem wrażenie, że w ogóle mnie nie ma albo że w najlepszym razie plączę się między ludźmi jako czyjeś blade wspomnienie. Czasem jednak uświadamiałem sobie, że jestem zauważany.

– Dlaczego nie umiesz po żydowsku? – spytał pewien ciemnowłosy chłopak o mocnych, krzywych nogach. Na imię miał Motel, słyszałem, że był u partyzantów w lasach litewskich i dzięki temu ocalał. Podobno zranił kilku Niemców.

– Umiałem, tylko zapomniałem – odparłem uczciwie.

Motel zmierzył mnie czarnymi jak smoła, przenikliwymi oczami i powiedział:

– Może nigdy nie umiałeś.

– Ależ umiałem, naprawdę – zapewniłem.

– Bajeczki to opowiadaj swojej babci – warknął.

Inni koledzy zaczęli również zadawać mi pytania.

– Na pewno jesteś Żydem? – pytał wysoki chłopak w okularach, właściciel wielkiej kolekcji znaczków.

– Oczywiście – odpowiadałem. – Nie wierzysz mi?

– Ano nie bardzo. Wyglądasz i zachowujesz się inaczej niż my.

Nocami słyszałem szepty na mój temat, w dzień wytykali mnie z daleka palcami. Jakiś malec przezwał mnie „Chrystusikiem" i przezwisko natychmiast się przyjęło.

Chudzielec o migdałowych oczach zarzucił mi, że jestem szpiegiem.

– Polski szpieg! – obwieścił.

Spoglądając przez okno na portret Stalina, wpadłem na pewną myśl. Może koledzy mają rację. Może nie jestem Żydem i przeżyłem tylko dlatego, że w rzeczywistości jestem katolikiem.

Prawie co dzień tkwiłem samotnie przy oknie, aż któregoś dnia spostrzegłem, że przy drugim oknie mam towarzysza. Przyglądaliśmy się sobie z tym chłopcem w milczeniu, wreszcie podszedłem i zapytałem:

– Jesteś nowy?

– Tak, przywieźli mnie wczoraj – odparł płynną polszczyzną podobną do mojej.

– Czemu nie grasz w piłkę?

Chłopak wyjrzał przez okno i wzruszył ramionami.

Nazywał się Mietek, a historia jego ocalenia różniła się od mojej tylko jednym szczegółem. Jego rodzice zapłacili dużo pieniędzy chłopu, który przechował go jako syna.

Zaprzyjaźniłem się z Mietkiem i niebawem przekonałem, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Przede wszystkim Mietek tak jak ja nie mówił słowa po żydowsku, zatem

i on stał się podejrzany. Jego przezwisko pasowało do mojego.

– Idą Chrystus i Duch Święty! – wołali koledzy, widząc nas razem.

Godzinami wystawaliśmy na ulicy, oglądając plakaty i fotosy w witrynach przed kinem. Oglądaliśmy też pomniki, przesiadywali w parkach i wymieniali doświadczenia.

– Coś ci powiem – szepnął raz tajemniczo Mietek.

Nastawiłem uszu.

– Nie cierpię tego sierocińca, nie cierpię tych wszystkich Żydów!

– Ja też – wyznałem. Promieniałem ze szczęścia, bo nareszcie znalazłem kogoś, kto czuł to samo co ja.

– I jeszcze coś – ciągnął Mietek, rozejrzawszy się, czy nikt nas nie słyszy. – Ja dalej wierzę w Pana Jezusa.

– Ja też! I – dodałem – jak światło zgaśnie, żegnam się znakiem krzyża i modlę do Niego.

– Ja też – powiedział Mietek z bardzo zadowoloną miną.

Któregoś dnia wyszedł do miasta sam, a po powrocie wziął mnie na bok.

– Wszystko załatwione, możemy stąd uciec.

– Dokąd? – chciałem wiedzieć.

– Byłem dziś w kościele i rozmawiałem z księdzem. Opowiadałem mu o tobie, chciałby cię też poznać. Przyrzekł, że nas ochrzci, a potem wyśle na wieś, gdzie nikt nas nigdy nie znajdzie.

– To kiedy się wynosimy? – spytałem uradowany.

– Kiedy tylko zechcesz.

– Natychmiast, tej nocy.

Mietek zawahał się.

– Kościół jest chyba nocą zamknięty, więc lepiej jutro po śniadaniu, jak wszyscy pójdą grać w piłkę. Wtedy my spakujemy manatki i znikniemy.

Zgodziłem się, i kiedy światło zgasło, a łóżko „konia" zaczęło trzeszczeć, ukląkłem i podziękowałem Panu Jezusowi za to, że mnie nie opuścił. Długo nie mogłem zasnąć, zarówno z podniecenia, jak z obawy przed jakimś figlem. Ale poza paroma szeptami i pojedynczymi chichotami panowała niezwykła cisza, toteż powieki mi opadły, usnąłem i miałem dziwny sen.

Ksiądz mnie chrzcił, kropił święconą wodą, gdy nagle usłyszałem śmiech. Rozejrzałem się – w kościele byli mój dziadek-piekarz, Mosze, matka, Szepsel, był nawet mój mały braciszek Josełe.

Co oni tu robią? – zapytałem sam siebie we śnie. – I na domiar złego się śmieją?

Spuściłem głowę i zrozumiałem przyczynę ich śmiechu. Od pasa w dół byłem golusieńki. Na twarz wystąpił mi rumieniec wstydu, podniosłem oczy na księdza.

– Nie martw się, synku – dobrotliwie powiedział ksiądz gładząc mnie po głowie. – Temu też się zaradzi. – I wyjął z małej miseczki kawałek skóry. Przyłożył go do mojego członka, który wyglądał teraz tak, jakby nigdy nie był obrzezany.

– Od tej chwili chłopiec jest chrześcijaninem – oznajmił ksiądz zgromadzonym w kościele.

– Jest Żydem! – sprzeciwił się ktoś.

Obudziłem się i poraził mnie blask latarek. Leżałem odkryty, kilkanaście par oczu oglądało mój penis.

– Jest Żydem – powtórzył tamten ktoś. Rozpoznałem głos partyzanta Motla.

Ci podstępni, parszywi Żydzi – pomyślałem – Ja im pokażę! Z Żydem może by im się udało, ale z chrześcijaninem się nie uda!

Zerwałem się wymachując rękami. Rozpierzchli się w ciemności, goniłem ich, ale się potknąłem. Zgasili latarki, uciekli, lecz we mnie narastał gniew. Podszedłem do drzwi, zapaliłem światło i ruszyłem w stronę łóżka Motla.

– To ty! – Motel miał oczy zamknięte, niby to spał. – Nie udawaj, że śpisz!

Motel zachrapał.

– Mnie nie oszukasz, ty zawszony gud... – Ugryzłem się w język, ale było za późno. Motel otworzył oczy, uśmiechnął się krzywo, usiadł i świdrował mnie wzrokiem.

Spiorę go, pomyślałem. W przebłysku pamięci zobaczyłem siebie, jak uciekam ze szkoły przed jakimś kolegą, katolikiem. Teraz role się zmieniły, teraz Motel był ściganym Żydem, a ja goniącym, silnym, nieustraszonym Polakiem.

– Coś ty powiedział? – Przeszywał mnie wzrokiem na wskroś.

Milczałem. Nie zabiję go, pomyślałem, tylko nastraszę.

– Jakżeś mnie nazwał? – nie ustępował Motel.

Rozejrzałem się – nikt już nie spał, otaczał nas wianuszek widzów.

– Tak jak mi się podobało – odpowiedziałem śmiało.

Motel uśmiechnął się ponuro.

– Nikt nigdy nie będzie mnie tak nazywał. Nikt!

Znienacka poczułem uderzenie w brzuch, potem w głowę. Upadłem, dokoła rozległy się wrzaski.

– Dość! – zakomenderował któryś chłopak.

Przywarłem głową do podłogi, znów ścigał mnie ten sam kolega, katolik. Modliłem się cicho: „Dopomóż mi, Panie Jezu."

Kiedy obudziłem się nazajutrz rano, sypialnia była pusta. Poduszka przesiąkła mi krwią. Usiadłem i obejrzałem w lusterku swoją pokaleczoną twarz. Prawe oko spuchło i prawie oślepło. W całym ciele, a zwłaszcza w brzuchu, czułem piekący ból. Zacząłem się ubierać, wtedy drzwi się otworzyły i wszedł Mietek.

Zbliżył się do mojego łóżka, popatrzył na mnie i powiedział:

– Ja jestem gotów, a ty? – Kiwnąłem głową. Sięgnął pod łóżko i wyciągnął węzełek ze swoimi rzeczami. – A ty co, nic nie bierzesz? – spytał.

– Nic – odparłem.

Tylnymi schodami bezszelestnie wymknęliśmy się na ulicę.

Dzień był ciepły i słoneczny.

– Bardzo cię boli? – zapytał mój przyjaciel, kiedyśmy się oddalili.

– Nie bardzo.

Chwilę milczeliśmy

– Przykro mi, że ci nie pomogłem – przemówił wreszcie Mietek.

I znów szliśmy w milczeniu. Przecięliśmy ulicę, skręcili za róg, minęli pomnik, Mietek zatrzymał się, żeby zawiązać sznurowadło.

Rozejrzałem się i poznałem budynek, przed którym staliśmy. Tu właśnie mieścił się urząd ewidencyjny, do którego przyprowadziła mnie Sara. Ludzie wchodzili i wychodzili, niektórzy witali się i rozmawiali po żydowsku. Przyglądałem się badawczo ich twarzom, usiłując zrozumieć bodaj słowo.

– Chodź – przynaglił Mietek.

Poszliśmy i niebawem zagrodził nam drogę wysoki, piękny kościół z wieloma stopniami i kilkoma dzwonami. Mietek mrugnął do mnie i zaczeliśmy piąć się po tych stopniach. W górze biły dzwony, tym głośniej, im bliżej byliśmy drzwi. Nagle ogłuszające dzwonienie ustało. I moje serce jakby zamarło. Stanąłem i stałem cichy, nieruchomy, choć Mietek ciągnął mnie za rękaw.

– Co z tobą, może się rozmyśliłeś?

– Czy nie zanadto się pośpieszyliśmy? – spytałem w końcu. – Może powinniśmy wrócić i omówić to jeszcze raz?

– Wszystko już omówiliśmy – podniósł gniewnie głos. – Sam nie wiesz, czego chcesz. – Nie doczekawszy się odpowiedzi, oznajmił: – Ja wchodzę. Ty rób, jak uważasz.

Wziął swój węzełek, odwrócił się i zdecydowanym krokiem podszedł do otwartych drzwi. Tam się obejrzał, chwilę na mnie czekał. Kiwnął nawet. Nie drgnąłem. Wówczas dał za wygraną i zniknął w mrocznym wnętrzu.

Czekałem myśląc, że wyjdzie. Na próżno.

Zszedłem wolno ze stopni i czekałem dalej na ulicy.

– Mietek! – zawołałem parę razy.

Odchodziłem i wracałem, w nadziei że Mietek przybiegnie, aż straciłem kościół z oczu. Podążając przed siebie ujrzałem jakiegoś brodacza.

– Czyżby to był mój dziadek? – szepnąłem.

Brodacz miał na głowie turban. Nie nosił garnituru, tylko owinął się prześcieradłem. Wyciągał ku przechodniom ręce i w kółko mamrotał coś w obcym języku. Z oczu wyglądały mu rozpacz i strach, był mizerny, wychudzony. Mało kto się nim interesował, otaczała go jedynie grupka rozbawionych dzieci.

– Co to za człowiek? – spytałem pierwszego z brzegu malca.

– Hindus.

– A co mówi?

– Nie wiadomo. Włóczy się tu od paru tygodni. Zabłądził i nikt go nie rozumie.

Zostawiłem przedrzeźniające brodacza dzieci i puściłem się pędem. Biegłem ulicą, przez bramę, po schodach, coraz wyżej i wyżej. Dysząc wpadłem na korytarz, zatłoczony czekającymi ludźmi, którzy uśmiechnęli się na mój widok, jakby spodziewali się mego przyjścia.

Była to ta sama poczekalnia na trzecim piętrze, w której każdą ścianę oblepiały kartki z nazwiskami. W kącie siedziała młoda kobieta z płaczącym niemowlęciem na rękach. Próbowała uciszyć dziecko smoczkiem, ale ono wciąż za-

nosiło się od płaczu. Kobieta zanuciła więc cichutko. Melodia była znajoma, moja matka też mi śpiewała „patataj, patataj".

Może ta kobieta wie, gdzie jest moja matka. Może właśnie matka nauczyła ją tej piosenki. Muszę, muszę znaleźć matkę i ojca.

Ale gdzie? – odezwał się ten głos-szyderca. – Nikt nie żyje, wszyscy leżą martwi, przyjmij to wreszcie do wiadomości.

Na wolnym skrawku ściany jakiś człowiek gryzmolił swoje nazwisko. Gdy skończył, pożyczyłem od niego ołówek. Poszukałem kawałka miejsca i nim zacząłem pisać – obejrzałem się i zobaczyłem kilkadziesiąt par wpatrzonych we mnie oczu. Czerwieniąc się wykaligrafowałem starannie „Jankełe Kuperblum żyje".

Może ktoś mnie dzięki temu odnajdzie? – myślałem w drodze powrotnej do sierocińca. Może matka żyje, może uciekła i gdzieś się ukryła... Wujek Mosze i ojciec... Może oni też mnie szukają, choć ojciec będąc w wojsku nie ma pewnie na razie czasu. Ale wkrótce go zwolnią i przeczyta na ścianie moje nazwisko. Podskoczyłem, spojrzałem w rozsłonecznione niebo.

Może, może – powiedziałem sobie. – Na tym świecie wszystko jest możliwe.